№ 28. Warszawa, 8 lipca 1922. Cena 100 mk. Rok III.

TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ:

O NAPRAWĘ RZECZYPOSPOLITEJ.

Na przeciągu wieków mieliśmy tyle świetnych traktatów *o naprawie Rzeczypospolitej,* tyle uwag i przestróg głębokich, tyle wskazań przekonywających i kazań porywających... W pismach głoszono u nas zdania mądre, które innym ludom mogły służyć nauką, *jakie są rządy najlepsze,* a w praktyce naszego życia państwowego dawano stale innym narodom *przykłady rządów, których unikać należy*. Oczywista, że w ten sposób Rzeczypospolita dobrze ludzkości się przysłużyła, ale jakże drogo sama zapłaciła za to, że nie szła za temi radami mądremi, które światło na szlaki przyszłości rzucały, lecz brnąc po omacku w ciemności egoizmów stanowych, interesów prywatnych i ambicji osobistych, na manowce schodziła.

O konieczności radykalnej naprawy i — stworzenia rządu silnego przekonywały światlejsze umysły polskie jeszcze w wieku, kiedy Rzeczypospolita opromieniona blaskiem potęgi i chwały stała, o naprawę rozpaczliwie wołano w wieku upadku, w nocy bezsiły i niesławy... W ostatnich chwilach bytu niezależnego spieszono zrobić to, na co nie znalazło się czasu w ciągu stuleci, Rzeczypospolita do grobu schodziła z planem naprawy, którego wykonać już nie zdołała.

I dziś powołani do życia nowego, znowu mówimy „o naprawie Rzeczypospolitej", jeszcze budować nie skończyliśmy, a już *naprawiać*, trzeba to, co zrobiliśmy, dopiero iść na nowo zaczęliśmy, a już jak za czasów przedrozbiorowych słyszymy głosy, że „tak dalej iść nie można", bo do zguby idziemy...

Grono profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego wydało książkę zbiorową pod nazwą „*O naprawę Rzeczypospolitej**)*,* która ukazała się w chwili ciężkiego przesilenia rządowego, zamętu w Sejmie i zaostrzonej, jak nigdy walki partyjnej. Jest to— głos uczonego Krakowa, piastującego tradycję myśli polskiej,—głos, odważnie i otwarcie nazywający po imieniu najważniejsze niedomagania życia narodowego w Polsce i wskazujący drogę do usunięcia tych niedomagań. Jest to dzwon na trwogę, który ozwał się w prastarych murach krakowskich.

Ton dzwonu nie alarmujący i łagodny, powagą i ostrożnością nacechowany, a jednak trwogę budzi dźwięk dzwonu, który w wiekach ubiegłych o naprawę wołał, ale nie budził oddźwięku w sercach współczesnych i nie porywał do czynu.

„Wskrzeszona przed trzema laty Polska — czytamy w przedmowie do książki krakowskich uczonych,—musiała zaraz w swem zaraniu stoczyć ciężkie wojny i wśród krwawej pożogi budować swoją państwowość, swój ustrój gospodarczy i społeczny. Nie dziw więc, że jest w tem wiele jeszcze dorywczości, niejednolitości i brak wykończenia. Nie mniej ciąży nad nią w wielu dziedzinach nieszczesna spuścizna ery porozbiorowej".

O gdyby tylko dorywczość i brak wykończenia, spowodowane warunkami chwili obecnej! O gdyby tylko spuścizna ery porozbiorowej!

Daleko gorzej to, że widzimy dziedziczne braki życia politycznego Polski, dobrze znane nam z czasów przedrozbiorowych.

Redaktor książki „O naprawę Rzeczypospolitej" prof. Kazimierz Władysław Kumaniecki w artykule „*O stanowisko rządu*", słusznie pisze:

„W dawnej szlacheckiej Rzeczypospolitej wytworzyły się dwie jej śmiertelne choroby: Jedną było niezdrowe pojmowanie wolności, jako samowoli. Druga wyrosła z jakiejś chorobliwej obawy przed „dominium absolutum", upatrywano je w każdej próbie ukrócenia swawoli, w każdem usiłowaniu, zmierzającem do przywrócenia zachwianej równowagi w ustroju najwyższych władz państwowych... Na tym gruncie Sejm został z szczytów suwerenności, po którą sięgał, zepchnięty do rzędu bezsilnego ciała, pociągając za sobą państwo nad brzeg przepaści. Gonienie za popularnością stało się charakterystyczną cechą rządów w Polsce... Skutkiem takiego stanu rzeczy było osłabienie rządu, zniszczenie wszelkiej jego powagi, co w związku z bez-

*) *O naprawę Rzeczypospolitej.* Kraków 1922. Nakładem Krakowskiej Spółki wydawniczej. Dzieło to zbiorowe, podjęte z inicjatywy prof. Kazimierza Morawskiego, napisane jest przez profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wyjątek śród autorów stanowi jeden Marjan Zdziechowski — obecnie profesor Uniwersytetu Wileńskiego, ale i Marjan Zdziechowski związany jest wieloletnimi węzłami z najstarszą wszechnicą polską i pozostaje w ścisłej łączności z życiem umysłowem piastarego grodu wawelskiego.

silnością Sejmów, ze swawolą, kryjąca się pod płaszczykiem obrony wolności, prowadziło do marazmu i anarchji".

Przecież to — to samo właśnie, na co się teraz użalamy: marazm, zniszczenie powagi rządu, sejm rozbity na liczne partje nawzajem się zwalczające, niezdolne do stworzenia twórczej większości. „Do czego to prowadzi wiadomo aż nadto dobrze z tragicznych dziejów dawnej szlacheckiej Rzeczypospolitej; jeśt to prosta droga do bezrządu i wszystkich jego następstw".

I dziś, jak przed wiekami przychodzimy do wniosku, że „ustrzec państwo przed katastrofą może tylko rząd" i że dopóki silnego rządu nie stworzymy, dopóty nie wyjdziemy z chaosu, w którym pogrąża kraj wielogłowy suweren na pozór wszechpotężny, w istocie bezwładny.

Stoimy wobec zadania, którego nie rozwiązało nasze życie przedrozbiorowe, a którego rozwiązanie Rzeczypospolita znalazła dopiero w testamencie swoim — Konstytucji 3 maja. Czy poszliśmy jednakże, chociażby w pracy ustawodawczej w kierunku wskazań tego testamentu? Prof. Kumaniecki na podstawie analizy naszej małej konstytucji i niektórych artykułów Konstytucji 17 marca przychodzi do wniosku, że sejm nasz, mimo czci złożonej twórcom Konstytucji 3 maja, nie poszedł po ich linji lecz raczej się zawrócił na tę drogę, od której chcieli oni naród odciągnąć".

Myśli te były wypowiedziane przed ostatniem przesileniem i temi nieudanemi próbami wyjścia z niego, które jaskrawo stwierdzają stan bezwładu i marazmu, w jakim przebywa nasza odrodzona państwowość.

Zadanie „naprawy Rzeczypospolitej" staje się aktualnem zadaniem chwili.

Oczywiście, że książka uczonych krakowskich nie daje leku cudownego na niedomagania życia narodowego w Polsce, nie daje środka natychmiastowej naprawy Rzeczypospolitej. Budzi świadomość tego, że koniecznem jest podjęcie natychmiastowe pracy nad naprawą, i pracy gruntownej, od podstaw*)

Przewodnią myślą tego dzieła jestprzeświadczenie, że tylko prawda, bezwzględna prawda powinna prowadzić nas na drodze do naprawy: prawda o sobie i prawda o świecie nas otaczającym. Myśl zdawałoby się zbyt prosta, a jednakże jeszcze dalecy jesteśmy od należytego jej uświadomienia.

Słusznie i pięknie mówi prof. Jan Michał Rozwadowski w artykule: „Społeczne znaczenie nauki": „Historja własnego narodu bywa prawie zawsze zaprawiona megalomanją, egoistycznie, tendencyjnie, przecenianiem siebie i własnego znaczenia, a niedocenianiem albo wprost niesprawiedliwą ocena sąsiadów, zwłaszcza zaś wrogów. I u nas się to teraz systematycznie wszczepia przez t. zw. naukę „obywatelską", a broni się tego stanowiska potrzebą wychowania państwowego, optymizmu i dodawania otuchy. Ale równocześnie słyszy teu młody obywatel na lewo i prawo ciągłą krytykę wszystkiego, drwiny z rządu i władz, narzekania na ogólną nieuczciwość i t. d. bez końca. Więc jakiż może być z tego wynik?! Najlepszą i jedyna drogą prowadzącą do celu, jest zawsze prawda. Poznanie prawdy o sobie, poznanie zarówno swych zalet, jak niedomagań moralnych nie jest wprawdzie jeszcze środkiem do rozwijania jednych, a poprawiania drugich, ale jest koniecznym początkiem. Miłość ojczyzny nic na prawdzie nie ucierpi, tak samo jak szeroki ogólno ludzki horyzont, nic a nic jej nie zaszkodzi — przeciwnie.

Jest jeden tylko dobry i naprawdę skuteczny „imperjalizm": jeżeli się opiera nie na etykietach, zarządzeniach policyjnych, napisach, odbieraniu praw drugim, gwałcie i bezprawiu, tylko na realnej wartości własnego społeczeństwa, na rzeczywistej jego kulturze, niema innego zaprawdę skutecznego środka — rzeczywistość nie da się oszukać! Zwyczajnym imperjalizmem można tylko na chwilę coś uzyskać, ale potem tem rychlejsze i smutniejsze przebudzenie — bo przecież, z bezsilności nie da się wykrzesać siły. I żadna t. zw. realna polityka nic na to nie poradzi, choćby się na łbie stawała!

Przypomnienie tej prawdy potrzebniejsze jest nam, niż kiedykolwiek bądź: rozpoczęliśmy bowiem nowe życie w nastroju megalomanji, dzięki której dużo już doświadczyliśmy przykrych rozczarowań.

Drugim brakiem, z którym rozpoczęliśmy budowę nowego państwa, ignorancja spotęgowana tem, że od wybuchu wojny do dziś dnia żyjemy w blokadzie umysłowej, odcięci od świata. Nie znamy prądów współczesnych, nie zdajemy sobie nieraz sprawy z tego, że i teorje, które wciąż uchodzą u nas za ostatnie słowa mądrości, już w praktyce wykazały swoje braki.

„Zagadnień, związanych z moralnem odrodzeniem polskiego narodu, mówi prof. Kumaniecki, nie można rozważać bez związku z temi prądami, które kształtują myśli i poruszają uczucia cywilizowanej części ludzkości".

Otóż wielka zaleta dzieła uczonych krakowskich, zaleta, występująca dobitnie w rozważaniach prof. Stanisława Estreichera nad „udoskonaleniem ustawodawstwa", prof. Romana Dybowskiego nad wychowaniem obywatelskiem, w myślach, prof. Każimierza Morawskiego onowej epoce ludzkości i szkole klasycznej jest to właśnie, że zagadnienia naprawy życia polskiego są rozważane w związku z prądami współczesnemi życia zachodniego *).

Oczywista, że dla trafnego rozwiązania zagadnień polskiego życia narodowego, należy zdawać jasno sprawę z ogólnej sytuacji światowej. Pytanie: „quo vadis Polonia?" niechybnie prowadzi nas do szerszego pytania, „dokąd świat idzie". Pytanie to stawia w książce wspomnianej prof. Marjan Zdziechowski głęboki i wzniosły myśliciel polski doby obecnej. Odpowiedź brzmi bardzo pesymistycznie.

„Nad Europą, pisze, szalała od roku 1914 nawałnica; burze i nawałnice przeczyszczają nieraz

---

*) Plan tego dzieła niewielkiej objętości ale bogatej treści jest szeroko i głęboko pomyślany, obejmuje cztery części: *Życie moralne* (K. W. Kumaniecki, M. Zdziechowski), *Ustrój państwowy* (M. Rostworowski, S. Estreicher, K. W. Kumaniecki), *Nauka i Szkoła* (M. Rozwadowski, K. Morawski, M. Siedlecki, I. Łoś, R. Dybowski), *Zagadnienia gospodarcze* (T. Brzeski, A. Krzyżanowski, W. L. Jaworski, F. Zoll).

*) Ta sama zaleta cechuje i artykuły z dziedziny gospodarczej: prof. *W. L. Jaworskiego*, Samorząd gospodarczy, prof. *T. Brzeskiego*. Zagadnienie realizmu w programie gospodarczym, tegoż autora—reforma rolna, a prawo własności, prof. *A. Krzyżanowskiego* Waluta i prof. *F. Zolla*: Rozwój przemysłu a obrona twórczości umysłowej. Dwa ostatnie artykuły są dobrze znane naszym czytelnikom, bo były poprzednio wydrukowane na łamach „Tygodnia Polskiego".

powietrze, ta nie przeczyściła; przeciwnie, zostawiła po sobie grubę osady błota. I w błocie tem babrzą się narody, wyszczerzając zęby jedne przeciw drugim. Idące z Rosji barbarzyństwo zabierało się w roku zeszłym do przeistoczenia Europy w kupę gruzów, w jedno wielkie pogorzelisko; dziś, gdy rachuba ta zawiodła, przeciska się powoli, pocichu, przez wszystkie możliwe wejścia. Zarazkami śmierci przepełnia atmosferę Polski. Na barbarzyństwo to odpowiadamy nie natężeniem sił wszystkich, ażeby je zgnieść, lecz próbami zasymilowania go, przyjmując je w zmiejszonych nieco dozach. Są to objawy tego, że nasz organizm narodowy już zatrutym został. A słabą to jest pociechą, że gdzieindziej nie jest lepiej".

Pesymistyczny sąd. Ale pesymizm ten może być zdrowym lekarstwem na naiwny i optymizm, z jakim u nas nieraz rozwarzane są sprawy stosunku Polski do świata**).

Ś. p. ks. prałat Zygmunt Chełmicki.

Dnia 3-go lipca świat katolicki Polski stracił jednego z najwybitniejszych swych przedstawicieli. Autor szeregu utworów religijnych, kierownik *Bibliotekl dzieł ehrześćjańskich* i *Encyklopedji Kościelnej*, ś. p. ks. prałat Chełmicki był jednocześnie świetnym publicystą świeckim i przez długie lata zasilał swem piórem „Słowo". Zajmując wybitne stanowisko w hierarchji Kościelnej był jednocześnie działaczem i organizatorem na niwie pracy społecznej i przyczynił się do założenia całego szeregu instytucji które i dziś istnieją.

Ś. p. ks. Zygmunt Chełmicki,—pisze ksiądz Szkopowski „Kur. War." (Nr. 189),—łączył w sobie przymioty, które zwykle nie chodzą razem: wielką pomysłowość, dar organizacyjny, umiejętność wynajdywania ludzi do pracy, chętne dzielenie się zasługą, oraz wprost żelazną wytrwałość; prawie uporczywość w doprowadzeniu do końca rozpoczętych prac i pomysłów.

Posiadał dwa wielkie dary, które też nie chodzą w parze: świetne pióro zarówno publicystyczne, jak i naukowe, oraz porywającą wymowę, w której był mistrzem jasnym, logicznym, co przy dużym i dźwięcznnym głosie i doskonałej, czystej dykcji tworzyło mówcę, którego słuchało się z pożytkiem i wielką rozkoszą.

W towarzystwie wprost czarował pięknemi formami, gładką wymową i niesłychanie ujmującem obejściem, czego się nie zapominało. Schodzi do grobu jeden z ostatnich mohikanów dawnej Warszawy, z której salonów wychodziły początki i pomysły do pracy narodowej i społecznej."

Jako polityk ś. p. ks. Chełmicki odegrał ważną i już do historji należącą rolę za czasów okupacji niemieckiej. Jako sekretarz Rady Regencyjnej, posiadający bezwzględne zaufanie regentów, popularność w szerokich kołach społeczeństwa i wielki takt wobec władz okupacyjnych, robił na swym trudnym posterunku to co mógł robić gorący patrjota a umysł przewidujący w tych ciężkich przełomowych chwilach historji polskiej. Należał do tych patrjotów, którzy zrozumieli, że w budowie państwa polskiego każdy moment tej przełomowej epoki może być wyskany, uczciwie, z czystem sumieniem i z troską o przyszłość ojczyzny. Wiedział dobrze, że wróg potężny i przebiegły nie po to przyszedł, aby Polskę budować, ale jeżeli wróg ten pozwalał dla tych czy innych względów dla przyszłej budowy cegły kłaść, on swojącegie łkę położył. U fundamentów niedokończonego jeszcze gmachu państwości polskiej jest i cegiełka położona przez ś. p. księdza Chełmickiego.

RĘKOJMIE KONSTYTUCYJNE.

W każdem konstytucyjnem państwie, — a tem więcej w republice demokratycznej—jest rzeczą wielkiej wagi, aby, wszyscy obywatele rozumieli prawa, jakie im przysługują i jakie ich obowiązują. Prawa niewykonywane upadają samą siłą faktu, a wtedy nawet najlepiej obmyślana i sformułowana Konstytucja nie zabezpiecza normalnego biegu życia publicznego — gdyż zostaje martwą literą.

U nas istnieje bardzo poważne niebezpieczeństwo płynące stąd, że znaczna większość obywateli (wszyscy dawni poddani Rosji) nie zna życia konstytucyjnego z praktyki i bardzo słabo zdaje sobie sprawę z tego, gdzie się kończy wolność a zaczyna samowola, co jest wykonywaniem władzy, a co jej nadużywaniem. Najgorsze to, że ludzie pozbawieni też zdrowej nowoczesnej szkoły życia publicznego bywają czasem powoływani do władzy i przy sprawowaniu jej zdradzają brak zrozumienia zakresu i charakteru swych obowiązków.

Jeżeli w dotychczasowem prowizorjum niejedno mogło być zaliczone na karb nieuniknionionych tarć i utykań maszyny na prędce skleconej, to należy baczyć, by początek życia konstytucyjnego wedle ustawy obowiązującej trwale, wolny był od tych usterek, które z czasem przejść mogą w narowy zakorzenione, uświęcone zwyczajem, a godzące w samą istotę praworządnego ustroju.

Jak wiemy, istnieją pewne prawa zasadnicze, bez których niema życia konstytucyjnego, których wartość jest tak wypróbowana i stwierdzona doświadczeniem wieków ubiegłych oraz najnowszemi eksperymentami, że wszelkie od nich odchylenia — na prawo czy na lewo — nieuchronnie spychają państwo do rzędu niższych ustrojów politycznych, z któremi cywilizowany świat nowoczesny nie wchodzi w stosunki na stopie równości i wzajemności. Do nich należą tak zwane rękojmie konstytucyjne, warunki umożliwiające każdemu obywatelowi spełnianie obowiązkow i korzystanie z praw, jakie mu przysługują.

Widzieliśmy, że rewolucja społeczna w Rosji zaczęła od zignorowania tych elementarnych

*) Próbką takiego „optymizmu" może służyć świeżo wydana przez Tow. wydawnicze „Ignis" broszura „Nasza polityka zagraniczna", której autor p. *Rewera*, rozważając nasz stosunek do Rosji, między innemi mówi o „odbudowie Rosji bolszewickiej, od której daleko łatwiej uzyskać to niewiele co Rosja może dać". Ta niby „realna polityka" popierania bolszewizmu, nie mówiąc już o jej wątpliwym walorze moralnym, prowadzi do popierania jawnych lub ukrytych destrukcyjnych prądów we własnym kraju.

zasad konstytucyjnych, gdyż uznała je za wymysł „burżuazyjny". Być może, że ideologowie którzy nią kierowali, wyobrażali sobie szczerze, że — czyniąc to — sięgną po za nie, pójdą dalej na drodze ewolucji i stworzą wyższy stopień wolności i równości „proletarjackiej". Wolność słowa i druku, wolność zgromadzeń i stowarzyszeń, wolne wybory do ciała prawodawczego — wszystko to rzucono na śmieci, jako łachmany i przeżytki przeszłości. I oto okazało się, że wraz z niemi zdeptano i sponiewierano wolność samą. Bez tych elementarnych rękojmi wszelka władza jest tyranją, czy ją sprawuje dynastja z „bożej łaski", czy samozwańcza dyktatura powołująca się na wolę niezorganizowanej masy jako „wola ludu". — Jeżeli w drugim wypadku wynik jest gorszy, większe zdziczenie i rozprzężenie, głębszy upadek, to dla tego, że nawet najbardziej nieograniczna władza monarchów dziedzicznych była w pewnej mierze krępowana więzami tradycji i zwyczaju. Rutyna i nałóg nie kaprys i eksperyment kierowały maszyną państwa, jej funkcjonowanie przeto miało pewne cechy niezmienności; nie było nieobliczalne. Niema czynnika równie destrukcyjnego jak nieobliczalność w polityce; rozprzęga ona ład na wewnątrz, zabija kredyt rujnuje finanse i staje się dla państwa autoblokadą.

U progu normalnego życia konstytucyjnego warto przypomnieć ten ścisły związek zjawisk abyśmy mimowoli i bezwiednie nie dali się wciągnąć w otchłań już przy pierwszych krokach.

Obecny sejm jest, izbą ustawodawczą; on ustanowił Konstytucję. Pierwszem ciałem, które ją wprowadzi w życie i w jej ramach funkcjonować zacznie, będzie ten, który ma być pono wybrany na jesieni.

Niezmiernie wiele zależy na tem, aby on został wybrany prawidłowo, legalnie, aby — jak się mówi — wybory były „czyste". Z tego względu szczególnej wagi nabiera skład i charakter rządu sprawującego władzę w okresie przejściowym. Partjom chodzi o to, by w nim mieć „swoich" ludzi, lub, by to był — conajmniej — rząd bezpartyjny. Pod tym ostatnim względem gabinet Ponikowskiego najmniej budził nieufności.

Gdy jednak chodzi o czystość i prawidłość wyborów, nie dość na tem, aby bezstronność, uczciwość i dobra wola rządzących chroniły wyborców od nacisku zgóry. Nietylko władza może popełniać nadużycia i łamać ustawy, czynią to czasem i obywatele sami, a wtedy rola rządu jest stać na straży prawa i niedopuścić gwałcenia elementarnych zasad, stanowiących kamień węgielny konstytucyjnego porządku.

Zdaje mi się, że tej strony kwestji nie poświęca się należytej uwagi. — Umysły są wciąż pod suggestją, że rękojmie konstytucyjne służą tylko na to, by wolność obywatela zabezpieczyć przed samowolą rządzących. „Wolność druku" rozumie się jako przeciwieństwo cenzury urzędowej, „wolność zgromadzeń" jako zniesienie wszelkich policyjnych zakazów i ograniczeń przy publicznych obradach — i na tem koniec. — Widzimy jednak, że ci sami, którzy najżarliwiej bronią siebie i swoich przed wszelkiemi ograniczeniem własnych swobód obywatelskich, czynią śmiałe i otwarte zamachy na swobody cudze i domagają się zupełnej bezkarności. Są partje, które już dziś mają gotowe bojówki ćwiczące się w rozbijaniu wieców

---

Bohaterki tragedji greckiej.

Alfesybeja.

I.

U południowego podnóża Erymanthu, w dzikiej miejscowości górskiej, leży śród szumiących lasów dębowych miasto arkadyjskie Psofida. Mieszkańcy jego wiele cierpieć musieli od swych napastliwych, łupieżczych sąsiadów, Centaurów, którzy z Pelionu tessalijskiego przesiedlili się na podgórza Erymonthu; i od niedawna dopiero, odkąd wytępił ich Herakles, zaświtała i tutaj możliwość spokojnego życia. Jednakże i teraz nie zaglądał tu prawie nigły żaden cudzoziemiec; niełatwo było przedrzeć się stopie ludzkiej przez lasy okoliczne, i nie było też po co: mieszkańcy Psofidy byli to skromni pasterze, którzy nie znali darów Demetry i koziem zapijali mlekiem swe placki, z żołędnej wypiekane mąki. Ojcowskie rządy w tem mieście sprawował król Fegeusz. Sam był już w leciech, lecz w sprawach rządu i gospodarstwa popierali go dwaj tędzy synowie, Pronoos i Agenor, oraz córka jego, łagodna i śliczna Alfesybeja. I oto, razu pewnego, siedzą w wieczór zimowy — a zimy bywają tu srogie — i grzeją się przed ogniem — trzej mężczyźni i cztery niewiasty, matka, córka tudzież dwie synowe. Wtem słyszą, że ktoś p[illegible]ka do drzwi. Agenor otwiera. Wchodzi młodzieniec, blady, wynędzniały, z oczyma błędnemi, z włosem potarganym. Niespokojnie ogląda się dokoła — i rzuca się do ogniska, do stóp królowej.

— Wstań, mój gościu! Nie obawiaj się: nikt cię tu nie tknie.

— Niechajby dotknął, niechby i zabił; byle tylko nie to, ach nie to!

— Któż to cię prześladuje?

— One... te okropne, których nazwać nawet nie można. One i teraz są ze mną, tylko do waszego ogniska zbliżyć się nie śmią; wy ich nie widzicie, ale ja je widzę...

— Czegóż ty szukasz?

— Oczyszczenia! Schodziłem całą Helladę, cały Peloponez, wszędzie mi odmawiają. Zmiłujcie się, dajcie mi oczyszczenie.

— Ktożeś ty? i jaki jest twój grzech?

Przychodzień wyprostował się, pozostając jednak na klęczkach u nóg królowej; niespokojnem spojrzeniem obiegł gospodarzy i gorzki uśmiech wykrzywił mu usta.

— Nie poznajecie mnie? Czyż jest w Helladzie miejsce, dokąd nie dotarłaby wieść o Alkmeonie — matkobójcy?

swych politycznych przeciwników. Swoboda wygłaszania jakich chcą przemówień, gdziekolwiek zgromadza sobie słuchaczy, — nie wystarcza im; chcą jeszcze monopolu tej swobody. Wolność słowa w ich przekonaniu — streszcza się w tem: „Ja gadam, a ty milcz". — W tych warunkach jasną jest rzeczą, że o prawidłowych i „czystych" wyborach nie może być mowy.

Mniejszość może sterroryzować większość nawet tem, gdzie większość i mniejszość stanowią wielkości określone, co jednak nigdy i nigdzie nie może dotyczeć całego wybierającego społeczeństwa. Argumenty jakiemi się posługuje agitacja wyborcza, okoliczności chwili, które z pewnych spraw czynią kwestje palące i rozstrzygające na najbliższą przyszłość, a inne narazie usuwają w cień lub odraczają do czasu, gdy bieg wypadków aktualność im nada— to są czynniki, które w zupełnie normalnych warunkach dają przewagę liczebną jednej lub drugiej partji politycznej. Ażeby wybory mogły dać wyraz woli większości, trzeba dać możność każdemu wyborcy sformułowania własnych przekonań politycznych, — nie „pryncypiów", jakiemi się kieruje w życiu, — lecz poglądów na te sprawy, o których wybierani posłowie decydować będą. Tylko w takim razie wybory dają ogólną dyrektywę Izbie a Izba może z czystem sumieniem dawać ją rządowi. Teror wyborczy zupełnie niweczy to znaczenie wyborów. Kilkudziesięciu — ba! nawet kilkunastu silnych i uzbrojonych mołojców może skasować wolność zgromadzeń w danym powiecie i pozbawić tysiące ludzi ich elementarnych praw obywatelskich. Ponieważ nie zawsze najsilniejsza pięść idzie w parze z najrozumniejszem zdaniem i najwytrawniejszą radą, ponieważ ochota do bójek nie jest równie rozpowszechniona we wszystkich partjach, więc przewaga fizyczna może łatwo zapewnić zwycięstwo elementom zupełnie pozbawionym moralnych i umysłowych kwalifikacji do wyrażania woli narodu.

Tam, gdzie zrozumienie i poszanowanie wolności konstytucyjnej weszło w naturę społeczeństwa, gwałcenie jej traktowane jest jako przestępstwo bez względu na to, kto się tego przestępstwa dopuszcza, czy urzędnik nadużywający swej władzy, czy łobuz, który ją sobie samowolnie przywłaszcza.—Tam policja nietylko szanuje wolność zgromadzeń publicznych, ale jej strzeże i to z całą energją i sprężystością. — Walka o mandaty może się toczyć na słowa lecz nie na kułaki.

Czy nasze władze zawsze stoją na tej wysokości? Czy rozumieją, że wolność jest przeciwieństwem samowoli, a rola lojalnogo rządu konstytucyjnego nie ogranicza się do własnych dyskrecji i abstynencji, lecz musi być czynną i pozytywnie przeciwstawiać się żywiołom antykonstytucyjnym.

Mieliśmy już przecie i inne próbki antykonstytucyjnych zachcianek — nie z góry lecz z dołu. Tak np. w pewnem mieście związki zawodowe — tak przeciwne wszelkiej tyranji władz — wyobraziły sobie, że cenzura wykonywana przez zecerów jest zupełnie uprawniona i może się godzić z zasadą wolności druku Władza państwowa nie ma prawa krępować swobody prasy, jest jednak całkiem niedopuszczalne, by prasa stawała w opozycji do przekonań tych, co składają czcionki. Każdy zrozumie, że — jedno z dwojga — łatwiej pogodzić się z kontrolą jawną i odpowiedzialną niż podlegać tajnej i nieobliczalnej. Jednej zakaz zasłania przynajmniej przed moralną odpowie-

---

II.

Król Fegeusz smutnie pokiwał głową: choć Wieść jest boginią, ale i jej trudno się przedrzeć przez nasze odwieczne bory.

Ale Pronoos popatrzał na wędrowca surowo:

— Tyś ją przyniósł i zabieraj z powrotem! my w pokoju żyjemy z bogami i nie pragniemy poznać tych okropnych, których ty nazwać się lękasz.

Agenor przyłączył się do brata: Zostaw nas, nie kalaj naszego domowego ogniska!

Królowa atoli złożyła rękę na głowie przychodnia i łagodnie, po wiejsku, pogłaskała go po szorstkich włosach: Dajcie mu pokój, do mnie się udał i żądam abyśmy przedewszystkiem wysłuchali jego opowieści.

Alfesybeja przyniosła jeszcze jeden stołek i pokryła go futrem niedźwiedziem. Alkmeon spoczął na nim, lecz trzymał się ręką kominka i nie spuszczał oczu ze ściany wejściowej, jakby tam widział coś niewidocznego dla innych. Rozpoczął opowieść od swego dzieciństwa, od pożegnalnych słów ojca, które zapamiętał, aczkolwiek ich jeszcze nie rozumiał. Opowiedział, jak stopniowo obudziła się w nim świadomość obowiązku, włożonego nań przez ojca. Ta świadomość zatruła jego lata pacholęcę, spędzone przy matce, gdy unikał jej czułości, czując się przeznaczonym na jej zabójce. Opowiedział, jak starał się uchylić od tego obowiązku, odwołać się do ojca, do Apollina — napróżno. Opowiedział i to, co było następstwem i zakończeniem. Obaj bracia, którzy z początku przerywali mu surowemi pytaniami, stopniowo umilkli; Alfesybeja nie rzekła ani słowa, lecz jej łagodne spojrzenie wciąż spoczywało na nieszczęśliwcu i pod wpływem tego spojrzenia, dusza jego uspokajała się jak pod blademi promieniami letniego księżyca.

Gdy skończył, zapanowało długie milczenie. Nareszcie Fegeusz, milczący przez czas cały, podniósł głowę.

— Mój duch mi powiada, Alkmeonie, że jesteś raczej nieszczęsnym niż występnym człowiekiem i że nie ty zabiłeś Eryfilę, lecz twój ojciec i Apollo. A wy, synowie moi, co powiecie?

Pronoos i Agenor spojrzeli po sobie.

—Pomimo wszystko, ojcze, obawiamy się czegoś, lecz twoja to rzecz postanawiać, a nasza — wypełniać.

— Zdanie pozostałych odgaduję. A więc Alkmeonie spędzisz noc pod świętą osłoną domowego ogniska a jutro wypełnię nad tobą ustanowiony przez Apollana obrząd oczyszczenia.

działnością i sądem opinji. „Pisze tak, bo mu nie wolno inaczej“ — powie czytelnik. Nikt jednak nie domyśli się nawet, że milczenie lub niedomówienie tłumaczyć sobie musi okolicznością, iż niektóre myśli więzną w kaszcie drukarskiej.

Dowodem podobnego pomięszania pojęć jest stosunek znacznej części opinji do strajków. Wolność strajków zaliczono do swobód konstytucyjnych. Z natury rzeczy może to oznaczać tylko, że nikt nie może być karany za udział w strajku. Z tego jednak nie wynika przecież, by wolno było zmuszać kogoś do udziału w strajku, by strajk miał być nie tylko dozwolony lecz i obowiązujący. Tam nawet, gdzie chodziło o instytucje użyteczności publicznej: — tramwajo, szpitale i t. p. — władze nie chciały korzystać z zorganizowanej samopomocy społecznej, by nie naruszać praw strajkujących.

Nie należy mniemać, że te tendencje ultra wolnościowe, zamieniające samowolę jednych w niewolę drugich, są czemś zupełnie nowem w Polsce. Mieliśmy już przed wiekami przykład, który winienby odstraszyć naszych lewicowców, gdyby mniej lekko przechodzili do porządku nad naukami historji. Jaką drogą przeszła Polska do pełnej wolności sumienia jaką się chlubiła w XVI wieku, do nietolerancji wieku XVII-go i pozbawienia praw dysydentów na początku XVIII-go.

Królowie przysięgali na pacta conwenta, że dysydentów na wiarę prześladować nie będą ale tłum nie przysięgał. Podżegany przez żaków szkół jezuickich motłoch uliczny wszczynał stale „tumulty“ przeciw zborom ewangielickim w Krakowie, Poznaniu, Toruniu, we wszystkich miastach Rzeczpospolitej i faktycznie uniemożliwiał odprawianie „heretyckich“ nabożeństw. Bezkarność nietolerancji obróciła w niwecz tolerancję. Prawda, że władza powinna przedewszystkiem uczyć przykładem — obowiązkiem jej jest jednak uczyć nie tylko przykładem.

Od tego jest władza.

I. Moszczeńska.

FIUME.

(Korespondencja z Trjestu.)

Kwestja Fiume zawsze jeszcze stoi otworem. Traktat w Rapallo, dotychczas nie zupełnie wykonany, rozwiązał ją tylko prawnie, życie zaś poszło inną drogą. Nieszczęśliwe to miasto od trzech lat niemal jest jakby odłączone od świata i ciąży na niem smutna atmosfera zupełnej ruiny ekonomicznej i dezyorjentacji narodowej. Właściwie kwestja fiumańska powstała dopiero po wojnie. Przedtem nikt się o Fiumę nie troszczył a nawet sami Fiumańczycy, którzy ciągnęli duże zyski z pozycji ich miasta jako jedynego wielkiego portu morskiego Węgier, nie byli zbyt uświadomieni narodowo. Najlepszym dowodem zupełnego braku zainteresowania kwestją Fiume ze strony Włochów nawet jeszcze podczas wojny jest fakt, że w układzie londyńskim, zawartym w r. 1915 przed przystąpieniem Włoch do wojny, przydzielono, w razie zwycięstwa Ententy, za zgodą przedstawiciela Włoch, Fiume do Chorwacji, nawet gdyby ta ostatnia miała pozostać w ramach dawnej monarchji austrowęgierskiej. Nigdy też przedtem Fiume nie stanowiło aspiracji narodowej Włoch, tak naprzykład jak Trjest lub Trydent, a liczba iredenty w samem mieście

---

— Ojcze mój! wyszeptał Alkmeon z wdzięcznością, całując ręce starca. Zdziwiła się Alfesybeja, lecz zaraz przypomniała sobie, że oczyszczający jest rzeczywiście podług helleńskiego zwyczaju — miast ojca oczyszczanemu. Lecz zauważyła także, że już w pierwszej chwili słowo to nie były jej nieprzyjemnem i zarumieniła się.

III.

Następnego ranka przyniesiono prosię, i odbył się tajemniczy obrzęd oczyszczenia. Alkmeon się uspokoił, rumieniec zdrowia pokrył jego policzki, i teraz dopiero spostrzegli wszyscy jak był piękny. Obok dwóch synów Fegeusza czynił wrażenie boga, który zstąpił z Olimpu. Często chodził z nimi na łowy, szczególniej na niedźwiedzie, których było dużo w lasach Erymantu i zwykle tak się zdarzało, że nie oni jego — ale on ich uczył. Alfesybeja coraz częściej wpatrywała się w niego, coraz częściej oblewała się rumieńcem, przy pierwotnych zwyczajach tego zakątka—Arkadji, nie starała się nawet kryć ze swą tajemnicą i wzsyyscy widzieli, co się święci. Ale właśnie dlatego bracia poczytali za swój obowiązek dać wyraz niezadowoleniu.

— Wybacz, ojcze — powiedział Pronoos ze swoją zwykłą wiejską szczerością — czyżbyś zapomniał. co miałeś na widoku, dając naszej siostrze jej imię, „zwiększającej stada królów“? Liczyłeś na wiano, które dostaniesz za nią. Krów mamy niewiele, same tylko kozy; a wiana, naturalnie, nam nie da wygnaniec z Argosu. Uśmiechnął się Alkmeon, odpiął swój pas i wydobył z jego schówka jedną rzecz.

— Pronoosie, ile krów dostaniesz za tę ozdobę?

Szeroko otwarły się oczy Pronoosa. Na jego kolanach leżał naszyjnik cudnej piękności. Ze złotej kręconej obręczy spadało siedm złotych siatek w kształcie trójkątów, a każda była zakończona złotą blaszką z rubinowym kamieniem, tylko siódma była ozdobiona rzucającym ognie djamentem.

— Myślę że w całej Arkadji nie znajdzie się takiej ilości—powiedział z uśmiechem.

— Więc pozwól, ojcze, że wręczę ci go jako wiano za twą córkę, jeżeli uważasz mnie za godnego być zięciem twoim.

Trysnęły łzy radości z oczu starca: Mnie on na nic i o wiele bardziej na swojem miejscu będzie tu, — rzekł, okalajac naszyjnikiem białą szyję Alfesybei. Ta nic nie rzekła, lecz rumieniec jej lic walczył o lepsze z rubinowym blaskiem sześciu drogocennych kamieni, a blask jej oczu z ogniem siómego.

była zupełnie nikła. Po wojnie zaś sytuacja tak dalece się zmieniła, że Orlando, ówczesny prezydent ministrów Włoch przedstawił konferencji pokojowej z pominięciem o wiele ważniejszych spraw włoskich, kwestję Fiume jako niemal kwestję egzystencji Włoch. W tem swojem oświadczeniu miał wtedy za sobą większą część narodu włoskiego. W owym czasie i jeszcze na dość długi okres wszelkie objekcje co do niewątpliwej konieczności przyłączenia Fiume do Włoch, były we Włoszech uważane jako zdrada ojczyzny. To też jedną z przyczyn upadku późniejszego gabinetu Nitti było oświadczenie tegoż w izbie, że nie należy kwestji Fiume poświęcać interesa całego narodu. Entuzjazm dla tej sprawy doszedł do szczytu na wiadomość o wkroczeniu d'Annunzia do Fiume.

Nie jest ustalone czy rząd włoski brał tajny udział w tej wyprawie, lecz to jest pewne, że nie czynił wielkich przeszkód. — D'Annunzio zmusił wojska okupacyjne Ententy do opuszczenia miasta i cała jego początkowa działalność polegała na tem, aby przygotować przyłączenie Fiume do Włoch; później zaś, kiedy widoki na bezpośrednią aneksje nieco się zaciemniły, założył republikę „del Carnaro" wzorowane na średniowiecznych republikach miejskich we Włoszech.

Z początku było wśród legjonistów i świty D'Annunzia wiele wybitnych osobistości, jak np. Maffia Pantaleoni, sławny ekonomista, major Reina, który brał czynny udział w przygotowaniu wyprawy i inni. Fiumanczycy też z początku witali z entuzjazmem „zbawiciela". Podczas jednak długiej okupacji D'Annunzia we Fiume ciemne elementy wśród legjonistów wzięły przewagę i zaprowadziły w Fiume system terroru i barbarzyństwa. Każdy, który nie był bezwzględnym zwolennikiem przyłączenia Fiume do Włoch, był śledzony a bardzo często zdarzało się wybitnym fiumańczykom z partji t. zw. Autonomistów, to znaczy zwolenników zupełnej niepodległości Fiume, iż byli napadnięci na ulicach miasta w pełny dzień i bici w sposób jaknajbrutalniejszy. Nienawiść D'Annunzianów do Autonomistów poszła tak daleko, że leader tych ostatnich, dawny poseł do sejmu węgierskiego, Zanella, musiał z Fiume uciec i był nawet we Włoszech, dokąd się udał, przedmiotem zamachów ze strony swoich przeciwników.

W międzyczasie, po długich i często przerywanych pertraktacjach, doszło w Rapallo do porozumienia między Włochami a Jugosłowianami w sprawie adrjatyckiej. Fiume zostało ogłoszone państewkiem zupełnie niepodległem i neutralnem. Teza ta była trjumfem autonomistów i, jak później zobaczymy, odpowiada rzeczywistym potrzebom miasta. Jak jednak łatwo było przewidzieć, D'Annunzio i jego zwolennicy we Fiume i w całych Włoszech byli nadzwyczaj rozdrażnieni tem rozwiązaniem kwestji i dali swemu niezadowoleniu wtedy i przy późniejszych okazjach wyraz w proklamacjach przeciwko rządowi włoskiemu, które stanowią zarazem szczyt kultury stylowej i językowej włoskiej i przepaść nieorjentacji politycznej. D'Annunzio poszedł później tak daleko, że wezwał nawet wojska regularne włoskie, którym w wykonaniu traktatu w Rapallo było powierzono zajęcie Fiume i tem samem zmuszenie D'Annunzia do opuszczenia tego miasta, do dezercji i rewolucji przeciwko własnemu rządowi. Egzaltacja D'Annunzia, który za żadną cenę nie chciał ustąpić Włochom, miała

---

IV.

Minął rok niczem niezmąconego szczęścia; ale już drugi niósł w sobie rozczarowania. Dlaczego w istocie, bogowie nie zsyłają dzieci Alkmeonowi i Alfesybei? Nikt otwarcie nie dawał tego zapytania, lecz każdy o tem miał własne zdanie, najbardziej określone mieli obaj bracia: dzieci—matkobójcy! Lecz on był oczyszczony.

Tak, wskazany przez Apollina obrzęd zmywa krew bliskich, lecz czy — krew matki?

Więc oczyszczenie było niezupełne?

Razu pewnego przechodził Alkmeon z żoną przez ciemną sień domu; nagle jakby go odrzuciło precz; jęknął i zakrył oczy ręką. „Co ci. Alkmeonie?" „Nic, to tylko wspomnienie". Ale od tej chwili znikła jego wesołość. Prosił Alfesybeę, żeby się nie oddalała od niego i żeby na niego patrzała swemi łagodnemi oczyma: z tych oczu, mówił, płynie jakby błękitna chmurka i tak, mu w niej jest błogo. Coraz częściej wzdrygał się wlepiając oczy w jakiś punkt, z kimś mówił, z początku cicho i niewyraźnie, lecz później coraz głośniej i błędniej. „O matko, czemu mnie szczujesz niemi!" Potem przychodził do siebie, parę dni upływało w spokoju; a potem znowu.

— Słuchaj, Alkmeonie, rzekł mu raz Pronoos, widząc, że znowu się uspokoił — chyba i sam spostrzegasz, że twa choroba się potęguje. Pókiś nie doszedł do tego stanu, w jakim wówczas do nas przyszedłeś, póki przeważają twoje dni zdrowia—wybierz się do Delf, zwróć się o radę do boga, który cię skłonił do tego czynu.

Ciężko było przekonać Alfesybeę, aby się zgodziła na to rozstanie, ale konieczność jego była nadto jasna. „Idź, ukochany i wracaj zdrów". Więc poszedł.

V.

U progu świątyni w Delfach spotkała go Manto; poświęcona Apollinowi, służyła mu za pythję w dni wróżb. Branka Epigonów poznała w nim ich dawnego wodza; „czego żąda ode mnie mój pan?" „Twój pan, — smutnie odrzekł jej Alkmeon — prosi cię, żebyś się dowiedziała od jego i twego zarazem pana, jak się uleczyć może z mąk, sprawianych przez Eryńje". Lecz Manto pokręciła głową. „Apollo spełnił co mógł, nic nad to uczynić nie może; Eryńjami włada jedna tylko bogini, najdawniejsza i najpotężniejsza ze wszystkich, Matka—Ziemia. W Dodonie szumi jej dąb, gruchają jej gołębie, prorokują Sellowie; idź do Dodony, zapytaj długowiecznych Sellów; czego nie wiedzą oni — tego nie wie nikt".

(d. c. n.). **Prof. dr. T. Zieliński.**

za skutek, że najpoważniejsze osoby z jego obozu, jak naprzykład jen. Ceccarini opuścili go i że ostatecznie, ponieważ D'Annunzio absolutnie nie chciał nabrać rozumu, doszło do przelewu krwi między braćmi, t. zn. między legjonistami i wojskiem regularnem wojskiem. Wynik oporu D'Annunzia był do przewidzenia. Olbrzymia przewaga wojsk regularnych zmusiła go ostatecznie do kapitulacji. Fiumańczycy których znaczna część była już oddawna znudzona systemami rządów D'Annunzia, teraz myśleli, że nareszcie nastąpi ład i spokój i że nareszcie nieszczęśliwe miasto mogłoby nieco odetchnąć. Lecz życie poszło inaczej.

Odbyły się w roku 1921 wybory do Konstytuanty, przy których partja autonomistów osiągnęła 80% głosów. Ślepa nienawiść fascistów i legjonistów jednak doprowadziła do spalenia urn wyborczych i niedopuszczenia znowu rzeczywistych reprezentantów większości do władzy. Przeszło znowu kilka miesięcy zanim nareszcie za pośrednictwem Rządu włoskiego wybory były uznane i Zanella ze swoimi mogli objąć rządy.

Zanella, człowiek energiczny, ruchliwy i przepojony miłością do Fiume zapoczątkował okres spokoju i normalnej pracy. Lecz namiętności polityczne miały mu ponownie przeszkodzić w jego dziele. Pewny duch zemsty autonomistów za krzywdy wyrządzone im przez D'Annunzianów i złość tychże, — zresztą popartych przez liczne żywioły fascistów we Włoszech i przez pewną obojętność wojsk włoskich, które niby to prowizorycznie okupowały jeszcze Fiume, — że utracili władzę, doprowadziło do nowych zajść krwawych. W ich następstwie Zanella i większość Konstytuanty została zmuszona do opuszczenia miasta i do ukrycia się na terytorjum jugosłowiańskiem. Znów zapanowała i panuje jeszcze obecnie we Fiume partja skrajnych nacjonalistów. Okupacja też wojsk włoskich trwa dalej. Faktyczną tą okupację Fiume przez Włochów można sobie łatwo tłómaczyć wielkim interesem, jaki mają w obecnej chwili Włosi, aby Fiume przynajmniej na bliższą przyszłość nie odzyskało zupełnej niepodległości i tym sposobem stale się najsilniejszym konkurentem Trjestu, nadzwyczajnie ekonomicznie upośledzonego przez przyłączenie do Włoch. Pomimo to jednak Rząd włoski tem niespodziewem nowem zajściem został postawiony w bardzo kłopotliwem położeniu. Wyszło bowiem na jaw, a Zanella nie omieszkał zwrócić uwagę światu na to, pewna współwina rządu włoskiego w komplikacji sytuacji fiumskiej. Bo właśnie cała niedogodność obecnego położenia Fiume polega na tem, że Włosi, pomimo że w traktacie w Rapallo, uznali uroczyście niepodległość Fiume, nie chcą wcale, a to z wyżej wyłuszczonych przyczyn, tego miasta opuścić, pozornie dlatego, aby nie dopuścić do wojny cywilnej w mieście. Powód ostatni nie wytrzymuje żadnej krytyki, ponieważ dziś 90% mieszkańców idzie za partją autonomistów i zapewne zdołaliby sami zaprowadzić porządek i utrwalić stanowisko niepodległe miasta. Ze swej strony zaś Zanella wraz z większością Konstytuanty pozostaje nadal w Jugosławji i odmawia wszelkich pertraktacji z mniejszością, która sobie w sposób nieprawny i nadzwyczajnie brutalny przywłaszczyła rządy. Jednak mniejszość nie może skonsolidować swoich rządów, ponieważ Rząd włoski, który jednak zdaje się, nareszcie zdał sobie sprawę z rzeczywistej sytuacji w Fiume, nie dopuszcza ich do tego. Obecnie toczą się co do Fiume pertraktacje w Rapallo, wzgl. Genui, między Włochami i Jugosłowianami, których wynik w tej chwili jeszcze nie jest znany.

Opinja publiczna włoska swego czasu, jak mówiliśmy, tak dalece egzaltowana, że skłoniła delegację włoską na konferencji pokojowej w Paryżu do poświęcenia najważniejszych interesów państwa kwestji Fiume (zob. słuszne uwagi w tym względzie Tardieu'a w jego książce o konferencji pokojowej), dziś odsunęła na drugi plan tą kwestję. Włosi nie chcą już słyszeć o Fiume, albo przynajmniej nie chcą ponosić dalszych ofiar politycznych dla tego miasta.

Hinterland naturalny Fiume, miasta zresztą o znacznej większości narodowej włoskiej, jest Chorwacja, Slawonja i część Węgier, skąd i dokąd też przed wojną kierował się cały handel Fiume. Fiume więc, miasto jak mówiliśmy o narodowości włoskiej, ekonomicznie biorąc jest portem raczej jugosłowiańskim. Z Włochami mogołby utrzymać Fiume pewny handel, jednak przeważnie lokalny lub też tranzytowy do Jugosławji. Skoroby Fiume stało się portem włoskim, a ten kraj mógłby kontrolować handel rywala jugosławiańskiego, to Jugosławja zapewne jeszcze silniej, jak dotychczas dążyłaby do uniezależnienia się od tego portu i do skierowania handlu przeważnie do Salonik, względ. do udoskonalenia obecnie dość prymitywnych komunikacji wnętrza kraju z portami Dalmacji, jak np. Spalato i Ragusa. To, naturalnie byłoby ostateczną ruina ekonomiczną. Zaś znowu, gdyby to miasto stało się jugosłowiańskie, to po 1) powstawałyby ciągłe tarcia narodowem poparte zapewne przez bliskich fascistów Wenecji-Juljańskiej, po 2) Fiume jest zbyt blisko położone Trjestu, ażeby, jako port jugosławiański, nie dało powodu do wzmocnienia już i tak bardzo silnego antagonizmu włosko-jugosłowiańskiego. Co nie leży w interesie ani tych dwóch państw, ani pokoju całej Europy.

Jeżeli zaś Fiume będzie miastem ściśle neutralnem, to powyższe niedogodności byłyby eliminowane, względnie zneutralizowane. Także i Polska, mimo swego oddalenia, ma pewien interes w tem, aby Fiume było miastem zupełnie neutralnem, otwartem dla kupców wszystkich narodów bez wyjątków i wyróżnień. Fiume bowiem może w razie nie przyznania Trjestowi charakteru portu wolnego, a nawet wogóle, służyć, jako „Ausfallstor“, naszego handlu zamorskiego w kierunku Lewantu i Afryki Północnej. Stamtąd t. j. z Lewantu i Półn. Afryki możemy otrzymywać dużo ważnych dla nas surowców, a eksportować tam możnaby nasze artykuły, skoro warunki komunikacyjne polepszą się, a w Polsce zmniejszą się aktualne koszta produkcji. Dogodność używania Fiume neu-

tralnego, jako portu tranzytowego, polega na położeniu geograficznem i na tem właśnie, że w tym porcie, jeśliby był ściśle neutralny, nasi kupcy będą mogli utrzymywać swoje magazyny nawet pod flagą polską, a więc dysponować swobodnie niemi tak, jakgdyby położone były w samej Polsce. Zarząd miasta zaś będzie miał wszelki interes w tem, aby ofiarowywać kupcom zagranicznym, bowiem, jak później zobaczymy, przy zręcznem wyzyskaniu swojego portu, t. j. magazynów, kolei, przyrządów i t. d., może dochodem z niego pokryć wszelkie wydatki całego państwa, nie potrzebując się wcale uciekać do pożyczek zagranicznych i mogąc w ten sposób uniknąć jakiejkolwiek ingerencji obcych państw czy to politycznej, czy to ekonomicznej we własnym domu.

Jak widać, Fiume neutralne i niepodległe mogło mieć bardzo pomyślną przyszłość. Polska pomimo oddalenia nie powinna pozostać zupełnie obojętna na jego rozwój: skoro bowiem zdołałaby zabezpieczyć sobie swobodne użycie tego portu, gdzie kupcy polscy mogliby być panami w swoich magazynach, nie podlegając niepożądanym wpływom ani politycznym ani ekonomicznym, to pozyskałaby w ten sposób znowu jedno okienko w świat, co leży bezwzględnie w naszym interesie.

Dracone.

Z POWODU JEDNEGO ZGROMADZENIA.

Cyrk warszawski na Ordynackiej był jednej z ubiegłych niedziel świadkiem niezwykłego dla swych murów zgromadzenia; był miejscem zebrania licznej rzeszy ludowców, z granic województwa warszawskiego, na którem to zebraniu wystąpili ze swemi sprawozdaniami i programami, przywódcy najliczniejszego w Sejmie stronnictwa.

Samo miejsce zebrania nasuwa mimowoli porównania z temi licznemi a charakterystycznemi zebraniami jakie się rok rocznie odbywały w berlińskim cyrku Busch'a. Zwykle bowiem miejsce popisu woltyżerek i poskromicieli dzikich zwierząt obierał sobie na miejsce dorocznego zjazdu sławetny „Bund der Landwirte". Tydzień zjazdowy, t.zw. „landwirtschaftliche Woche", nadawał zwykle swoiste piętno stolicy Niemiec; na ulicach i we wszystkich miejscach publicznych, spotykało się mnóstwo typowych postaci, w długich butach, w jaegerskich kapeluszach, o charakterystycznych rysach junkra z Ostelbji lub osadnika z „Ostmarku".

Rozbrzmiewały tymi przybyszami sale teatrów i kabaretów, a echa rozpraw zjazdowych odbijały się szeroko na łamach dzienników stołecznych.

Zjazd rolników poświęcony niby to zagadnieniom z uprawą ziemi związanym, posiadał zawsze silne akcenty polityczne; zgromadzał on bowiem przedstawicieli tych kół społeczeństwa prusko-niemieckiego, na których przedewszystkiem opierał się ustrój państwowy monarchji Hohenzollernów. Tylko że tam wspólne interesy zawodu rolniczego łączyły właściciela drobnej fermy osadniczej z dziedzicem rozległych dóbr rycerskich, a przytem łączyły ich nietylko wspólne starania o utrzymanie wysokich cen na zboże i bydło opasowe, ale i jednym i drugim zależało na utrzymaniu panującego ustroju polityczno-społecznego, albowiem ustrój ten zapewniał i jednym i drugim optimum posiadania.

I z drugiej strony rząd królewsko-pruski rozumiał doskonale jak wielką wagę dla jego systemu posiadali osiadli na roli obywatele wszelkiego autoramentu, jako najwięcej powołany nosiciel idei zachowawczych, jako ostoja reakcji i wierności królowi pruskiemu. Wszak już po roku 1903 Sejm pruski zatwierdził cały szereg majoratów, nawet i niewielkich stosunkowo rozmiarów, byleby tylko zapewnić sobie dalszy poczet nowokreowanych członków kasty, na której najwięcej mógł polegać.

Część społeczeństwa na wsi osiadła dostarczała przytem najtęższego rekruta i najbardziej uzdolnionego oficera, a dzięki osławionemu trzyklasowemu systemowi wyborczemu, właściciele majoratów i dóbr rycerskich mieli zawsze zapewnioną większość w Sejmie pruskim. O ileż inaczej przedstawiają się w obecnej chwili stosunki agrarne w Rzeczypospolitej, jaka przepaść dzieli zebrania odbywające się w sali Towarzystwa Rolniczego od zgromadzenia w cyrku na Ordynackiej! Czy istotnie w tem przeciwieństwie interesów tych dwóch składników rolniczej części społeczeństwa, kryje się jedna z podstawowych różnic, jakieza chodzą między feudalną monarchją pruską a demokratyczno-ludową Rzecząpospolitą polską? Są bowiem pewne prawdy polityczne, są także i pewniki ekonomiczne, które mogą powtarzać się stale, niezależnie od miejsca i czasu.

Zawsze i wszędzie, bardziej konserwatywną, bardziej do tradycji przywiązaną, musi być ludność na wsi osiadła; bardziej postępową i liberalną musi być część społeczeństwa w miastach skoncentrowana. Radykalizm chłopa polskiego zarówno w dziedzinie myśli politycznej jak i ekonomicznej, rozpatrywany w powyższem oświetleniu, być może musi być uważany za zjawisko zgoła przejściowe. Prędzej czy później przyjść musi czas gdy pan na półwłókowej zagrodzie będzie zmuszony oddzielić się murem chińskim od zwolenników haseł pod któremi grupują się dzisiaj tłumy służby folwarcznej. Beati postidentes w imię wspólnej obrony „interesów wsi", prędzej czy później będą musieli przyjść na podwórko Związków Ziemiańskich.

A w ślad za łącznością interesów ekonomicznych obudzi się i wspólnota ideologji politycznej; znajdzie się wówczas platforma polityczna, na której zmieścić się będą mogli tak gwałtownie zwalczający się dzisiaj przeciwnicy. I przyjdzie być może czas, że polski „Bund der Landwirte" odbywać będzie swoje tryumfalne zgromadzenia w stolicy państwa, a jego linja polityczna będzie mocno decydującym czynnikiem w całej przyszłej koncepcji państwowej.

Dr. Stefan Kramsztyk.

OD WYDAWNICTWA.

Uprzejmie prosimy Sz. Prenumeratorów o rychłe uregulowanie przedpłaty na kwartał III.

LITERATURA I SZTUKA.

JESZCZE W SPRAWIE DEOTYMY.

W numerze 19 „Tygodnia Polskiego" pomieściliśmy artykuł p. t. „Deotyma na żołdzie carskim". Podaliśmy w nim wyciąg z pamiętnika Faleńskiego, zacytowany przez bibliotekarza wilanowskiego, p. Przecławskiego w jego monografji o życiu i dziełach Felicjana oraz komentarz do tego wyciągu, napisany przez tegoż p. Przecławskiego, który zapewnia, iż sprawdził rzecz całą „w archiwach tajnych przez Rosjan pozostawionych" i obiecywał, że te tajne dokumenty zużytkuje w specjalnem opracowaniu. Jednocześnie powtórzyliśmy oznajmienie p. Przecławskiego, że przyjmuje na siebie „pełną odpowiedzialność za te niejako potwierdzenie notat Faleńskiego".

Nota Faleńskiego, w całości nieprzychylna dla Deotymy, zakończona była takiem zdaniem: „Nadskakiwania te — pokazało się wreszcie — nie były bynajmniej bezinteresowne. Jakoż uwieńczone zostały dożywotnią pensją 1500 rubli, które wieszczka—równie jak i Odyniec—trudno wiedzieć za co, od rządu pobiera".

Dotychczas p. Przecławski nie pokwapił się z ogłoszeniem owych tajnych dokumentów, chociaż od wydania monografji o Faleńskim upłynęło już wiele długich miesięcy i chociaż społeczeństwo polskie powinno było przedewszystkiem otrzymać *dowody* strasznego oskarżenia a mniej się interesować „pełną odpowiedzialnością" p. Przecławskiego. Tymczasem artykuł nasz wywołał żywą dyskusję w prasie. K. Bartoszewicz rozpatruje w „Nowej Reformie" i w „Rzeczypospolitej" całą sprawę z wielkiem niedowierzaniem i zwraca uwagę na dwie okoliczności: że ani wizyta Berga u Deotymy, ani dożywotnia pensja, którą pobierała a *o której wszyscy wiedzieli*, bo wiadomość o niej była pomieszczona w „Dniewniku warszawskim", nikogo snać nie dziwiły, skoro pomimo tych wiadomości salon Deotymy nie przestawał być popularny. Rewelacje Faleńskiego i p. Przecławskiego wydają mu się conajmniej spóźnione, mówią bowiem o faktach znanych i przez współczesnych nie komentowanych tak ujemnie, jak to czyni p. Przecławski. Zresztą Bartoszewicz zauważa słusznie, że zasługi szpiegowskie „wynagradza się w różny sposób, ale nie reskryptem carskim, wyznaczającym pensję dożywotnią".

Uwagi Bartoszewicza podziela p. W. R. w „Kurjerze Warszawskim" i zastrzega się jaknajenergiczniej przeciw „obliczonemu na sensację a niezgodnemu z prawdą rozmnażaniu tego błota, które odkryto w archiwach rosyjskich". Z wiadomości posłyszanych o stosunku Deotymy do rządu i o jej pensji carskiej przytacza p. W. R. następujące: „Wspominano mi np. o jakichś listach francuskich, pisanych niegdyś przez Deotymę z wygnania, gdzie była z ojcem banitą, który po roku 1863 złożył w chwilowym, powiedzmy krótkotrwałym porywie dumy narodowej, swą godność szambelańską i za to był deportowany. W tych listach chwaliła Rosję i Rosjan, ale chodziło jej o to, aby komplimentami utorować sobie drogę do powrotu. Mówiono mi także o „pensji dożywotniej". Mówiono, że Deotymie należała się emerytura po ojcu, że tę emeryturę straciła, jako córka skazańca politycznego i potem ją uzyskała tytułem łaski carskiej, w formie dotacji. Osiągnęła to niewątpliwie pochlebstwem i manifestowaniem swej lojalności wobec rządu, ale co to ma wspólnego ze szpiegostwem?"

Do tych ważnych uwag i wyjaśnień, na które będzie musiał opowiedzieć p. Przecławski, dołączamy dziś ze szczerą radością wyjątek z listu mec. Aleksandra Kraushara, który pisze: „P. Przecławski bawi obecnie w Moskwie. Rodzina Deotymy zamierza domagać się przedstawienia dowodu hańbiącego pamięć poetki zarzutu. Uczyni to po powrocie p. Przecławskiego do Warszawy. Co do mnie, mogę tylko stwierdzić, że byłem w Archiwum tutejszem, w którem się przechowują akta tajne b. rządu rosyjskiego i że według zapewnień dyrektora archiwum, prof. Janusza Iwaszkiewicza, w liczbie osób o pobieranie żołdu od władz najazdu podejrzanych — śladu żadnego dotyczącego Deotymy niema.. Uważam zarzut czyniony Deotymie za *oszczerstwo*, domagające się zadośćuczynienia".

Tyle mówią wyjaśnienia i fakty, obalające ciężki zarzut p. Przecławskiego. Nie pozostaje nam, jak wyrazić radość, iż artykuł nasz doprowadzi w ten sposób do sprawy sądowej, która nietylko ustali ostatecznie istotę sprawy Deotymy, ale określi granice odpowiedzialności p. Przecławskiego, jeżeli ten zbyt pochopnie podał do wiadomości ogółu tak hańbiące poetkę podejrzenie.

J.

ANTYFONA.

(Z powieści „Rubinowa oś".)

Z iłu szczodrobliwości Twojej wyrósł kwiat, podobny słońcu:

Ojczyzna moja.

Jako żniwo Twego rozpasania, strzelił snop na chleb nasz powszedni, własny a święty.

Pod bezgniewliwem niebem teraźniejszości, z piany gniewu Twego, wstała:

Ojczyzna moja.

Całem ukrytem kanibalstwem mojem, kłaniam się Tobie w pas, Pani Łaskawa, Pani Bez Zmazy, Niepokalanie ukończona, uwieńczona chwałą

Ojczyzny mojej.

Życie jednostek przeciekało strugą przez palce Twoje.

Zginęły miljony, biljony, tryljony, aby powstała

moja Ojczyzna.

Niechaj śpią spokojnie w cieniu spełnionego — częstokroć nieświadomie zadania.

Niech śpi spokojnie czarny żołnierz Afryki, trzciną cukrową i mięsem „białego" karmiony za młodu, który padł twarzą w cienki dopływ Marny, jakby z niej miał pić po wieki niteczkę letniej wody.

Nie słyszał nawet o mojej Ojczyźnie, a za Nią zginął.

Niech śpi spokojnie biały, zadumany Hindus, który legł pod gruzami gotyckiej katedry, wraży jej bogom, obok niefrasobliwego normandczyka.

Niech śpi spokojnie nad Piawą, sponiewierany, królewski syn Rodiyów, zaklinacz wężów, którego szafranowe czoło przecięła śmiertelna bruzda, rubinowy dyadem spóźniony.

Opasły Prusak, który Ojczyznę moją znał i nienawidził, a dla Niej zginął, z ręką na puszce marmelady.

Kałmuk o nosie podobnym do tratwy, który szedł z głębi Azji dom mój plądrować, a zginął dla mojej Oczyzny.

Piegowata dziewczyna, powieszona bez sądu we Flandrji, w dzień biały i dżdżysty, za niewiadomo jaką zdradę. Mojej Ojczyzny nie zdradziła.

Niech śpi spokojnie kary koń na Mazurskich Jeziorach, któremu granat wypruł wnętrzności i zasypał dobrotliwe oczy szutrem i ziemią.

Siwy byk na pograniczu serbskiem, niewprawną ręką, tępym kozikiem zarżnięty, którego dymiące pośladki nieznanych żołnierzy kcrmiły, w dni głodu i chłodu.

Niechaj śpi spokojnie cicha, zestrachana, szczenna suka, którą przejechała w pół armata Stanów Zjednoczonych.

Srebrna mewa nad Bosforem, którą ściął propeler angielskiego łatawca.

Chybki korowód płaszczek ciernistych, przebrzydłych, na Oceanie, zgniecionych wypolerowaną piersią łodzi podwodnej.

Mrowisko, rozkopane na grób żołnierski, na cztery wiatry rozsiane.

Niechaj śpi spokojnie stary szpinet palisandrowy, misterne puzdro na duszę Lullych, wtłoczone brutalnie w gardziel bessarabskich szańców, siateczką strun swoich lękliwych pokryty, jak szlachetny koń siatką żył.

Sekretarzyk, z czeczotkowego drzewa, który wzięto na szaflik dla menaży.

Krzak boule de neige'ów, przezroczysty jak ampla, obrócony na miotłę w obozie.

Malwy, operlone kwiatem, które stratował pochód trenów, od wschodu do zachodu.

Niechaj to śpi.

Niechaj oni wszyscy śpią spokojnie od wschodu do zachodu, na lądzie i morzu!

O czarny żołnierzu obcy!
O blady Hindusie z Singapore!
O kary koniu!
O mewo!

Bądź pochwalona, Pani Łaskawa, Pani Cudem Słynąca, Pani Bez Zmazy!

Niechaj się teraz przewala zbrodnia, grabież, łajdactwo — Ty jesteś czysta, Niepokalana, Najszczodrobliwsza!

Wilczyco płodna, u której wymion, zapiły się ludy krwią na śmierć, aby nikt nie patrzał, nikt nie przeszkadzał powstaniu
mojej Ojczyzny.

O Kliblah! ściano meczetu, zwrócona na zawsze ku Mecce!

Wieżo Babel! cudem pomieszanych proporców szumiąca!

Kolumno Memnosa! płacząca o wschodzie niesamowitem wyciem!

Wyj! Płacz! Łkaj! Śmiej się!

Wszystko jest wszakże niczem, wobec urodzin
Ojczyzny mojej......

Maryja-Jehanne hr. Wielopolska.

Święte, 23. 6. 1922 r.

Jakób Copeau.

TEATR „LE VIEUX COLOMBIER" I JEGO SZKOŁA.

II.

Wiele umysłów trapi potrzeba udzielenia nowym pokoleniom pełnego wykształcenia dramatycznego. Widziałem w Ameryce — gdzie może powstaną kiedy formy oryginalne — niejedną próbę tego rodzaju. Istotnie, poza drobnemi zrzeszeniami młodych artystów, każdy uniwersytet posiada swój *worskhop* lub przynajmniej swój kurs dramatyczny i własny teatrzyk aplikacyjny. Jednym z najstarszych i najbardziej cenionych jest kurs profesora Jerzego Bakera w uniwersytecie w Harvard. Ale, prawdę mówiąc, żadna z tych instytucji nie zdaje się być zbudowaną na fundamentach dość głębokich. Żadna nie wydała dotychczas wyników dość znamiennych. I kiedy widziałem poraz ostatni profesora Bakera, był nieco zrażony. *)

We wrześniu 1915 roku byłem we Florencji u Gordona Craiga. Wojna rozproszyła szkołę, którą w 1913 zainstalował w *Arena Goldoni.* Poznałem więc tylko tę szkołę z opowiadań samego Craiga i z broszury, która stanowiła raczej program, nie sprawozdanie z działalności. Ale nie zapomnę nigdy chwil spędzonych w tej *Arena Goldoni*, w której, gdy się tam wchodzi z wąskiej ulicy florenckiej, doznaje się wrażenia niespodzianki i uczucia „odkrycia jakiejś wspaniałej rzeczy tajemnej" Oddychałem atmosferą tego schroniska piękna. Usiadłem w słońcu na kamiennych schodkach, na których rośnie młoda katalpa. Uczuwałem w sobie egzaltację czystej pracy, która się

*) P. Ivette Guilbert założyła w Ameryce *Szkołę Teatru*, która rozpoczyna już trzeci rok swego istnienia.

schroniła w tej głębokiej ciszy i odnalazłem w pamięci słowa, które pragnąłbym poczytywać za własne. „Jeden jest tylko środek, aby sztuce przywrócić radość życia. Trzeba skierować się do młodzieży“. *)

Nie wiem nic o innych krajach. Zdaje mi się, że tylko jedna nowoczesna Szkoła teatru w Europie doprowadzona została do doskonałości, a mianowicie szkoła Stanisławskiego w Moskwie. Nie wiem, co się z nią stało. Ci, którzy zbliżali się do Stanisławskiego, przedstawiają go jako człowieka wielkiej szlachetności, który spodziewa się wszystkiego od swej sztuki i służy jej z poświęceniem. Znałem w Paryżu jedną z jego uczenic. Zaświeciły jej się oczy, gdy mi oznajmiła: „Byłam tam bardzo nieznaną artystką, ale swoją drogą... należałam do szkoły.“ Dodała jeszcze: „Wszystko tam było łatwe. Jeżeli się zdarzył jakiś wypadek, jakaś trudność, wystarczyło zwrócić się do Stanisławskiego, opowiedzieć mu o co chodzi i wszystko wracało do porządku“... Taką jest dobroczynna władza nauczyciela.

* * *

We Francji nie posiadamy nauczycieli. Ludzie wielkich talentów, jak Antoine, Lucyan Guitry, Gémier, wywarli wpływ na wielu aktorów własnym przykładem lub radą. Postawili na zaszczytnem miejscu raczej sposoby pracy, niż doktrynę. Antoine narzucił swą manierę całej epoce naszej sztuki. Ale nie zmienił aktora w jego istocie. Nie zdaje mi się zresztą, aby o to zabiegał, ani też, aby uważał to za możliwe. Modelował potężnie, ale powierzchownie, dla potrzeb swej sztuki, wykonawców, którzy po większej części byli w jego ręku powolnym materjałem.

Istnieją pokupni profesorowie, którzy ubiegają się o reputację udzielania młodzieży wszystkiego, czego potrzeba, aby przejść egzamin, zdobyć konkurs lub zyskać *engagement*, Ale nikt jeszcze nie zatroszczył się o to, aby założyć taki kącik zamknięty, w którym, w atmosferze prostoty, uczciwości, koleżeństwa i surowej dyscypliny, młodzi Strażnicy Teatru zdobędą pełną technikę i ducha swego zawodu, gdzie nauczą się uważać swą sztukę, nie za lekką zabawę, świetne i zyskowne zajęcie, ale jako ideał, który osiągnąć można drogą wysokiej abnegacji charakteru, przez ciężką, zaciekłą, różnorodną, często niewdzięczną pracę, która odbywa się nietylko ustami, ani nawet ustami i umysłem, ale także ciałem i sercem, całą osobą, wszystkiemi władzami, całą istotą. **)

To wybrane miejsce, o którem mówię, to odnowione źródło całej epoki, zabezpieczyć może i rozwój jego ustalić w dobrze zorganizowanem społeczeństwie jedynie Państwo. Ale urzędowa nauka naszego *Konserwatorjum*, w tem przynajmniej, co dotyczy sztuki dramatycznej, nie posiada życia realnego, ani też najmniejszej racji bytu. Skarżą się na to wszyscy oddawna. Jest to uświęcony temat lamentów krytyki. Mówi się nawet o reoganizacji Konserwatorjum. Osobiście nie wątpię, że obecny jego dyrektor, p. Henryk Rabaud, artysta i dzielny człowiek, poświęca mu najlepsze swe usiłowania. Ale co do mnie, jestem przekonany, że niemożliwem jest odświeżyć ten stary budynek, tak jak nie da się odnowić Komedji Francuskiej. Fala potężnej tradycji utrzymuje jeszcze na powierzchni te instytucje pozbawione steru.

„Konserwatorjum Narodowe“ nie jest już szkołą. Żadna dyscyplina nie łączy między sobą jej członków. Żadna doktryna nie panuje nad jej uczniami. Nie przewodniczy tam żadna metoda. Niema szkoły tam, gdzie uczniowie mówią z pogardą o nauce, jaką otrzymują; tam, gdzie profesorowie zgadzają się na niedostateczność własnych usiłowań i po większej części przestają się interesować swem zadaniem; tam, gdzie metody pracy dają jako wynik zabrudzenie uczniów sztuczkami i manierami, narzucanie im powolne, pod pozorem postępu, takich obyczajów, które wszczepiają się w postać ucznia na niekorzyść czucia; tam, gdzie żaden płomień nie jest egzaltowany, gdzie niema ochrony żadna świeżość, gdzie nawet rozpraszana jest dobra wola: tam gdzie duch konkurencji i dorobkiewiczostwa zastępuje kult dla sztuki i szacunek dla zawodu: tam wreszcie, gdzie młodzieńcy, którzy powinni być naszą nadzieją jutra, przebywają jakby w miejscu przejściowem w sklepiku konkursów. z którego ma się wyjść jaknajszybciej z pergaminem.

Trwanie dalsze Konserwatorjum szkodliwe jest nie tylko dla tego, że nie spełnia ono swego zadania, ale również dla tego, że resztka uroku i pieczęć urzędowa przywiązuje do niego młode osobistości, których uzdolnienia, przy lepszej kulturze, mogłyby zakwitnąć gdzieindziej. I właśnie nieistnienie tej nauki, które w wielu umysłach dyskredytuje samo pojęcie szkoły, przeciwstawia dziwactwo jako antydotum na akademizm.

Nie spostrzegamy dość jasno, że głęboką przyczyną upadku nauczania akademickiego jest jego odwieczny rozwód z wykształceniem zawodowem właściwie nazwanem, z terminatorstwem. Sprawę tego terminatorstwa stawia

*) Gordon Craig, *Art and the Joy of Life* (The Mask. II.4).

**) Pod tytułem *Szkoła Gémiera*, Karol Dullin usiłował zorganizować w Studio „Comédie Montaigne“ laboratorjum dla „nowoczesnej nauki sztuki aktorskiej“. Obecnie przetwarza on grupę własnymi środkami pod skromną nazwą: „Pracownia, nowa szkoła Aktora“ (7 rue Honoré-Chevalier). Karol Dullin był w ciągu długich lat, od r. 1911 do r. 1918 moim towarzyszem i współpracownikiem. Pragnąłbym, aby jego usiłowanie nie różniło się zgoła od naszego, ale jestem przekonany, że Dullin żył zbyt blisko nas, że jego dążenia zbyt długo jednoczyły się z dążeniami teatru *Vieux Colombier*. aby nie szedł tą samą drogą, co my. Dlatego właśnie zwracam uwagę na jego próbę ze szczerą sympatją.

Szkoła Izadory Duncan i *Instytut Jakóba Dalcroze'a* (przy których postawić należy piękne wykłady Adolfa Appia) nie są szkołami teatru, ale trzeba przyznać, że prace ich przygotowują powstanie szkoły dramatycznej i stanowić będą jej podstawę, o ile się weźmie pod uwagę tę starożytną i fundumentalną prawdę: że sztuka dramatyczna jest przedewszystkiem *muzyką* i że wykształcenie dramatysty (poety lub aktora) powinno być przedewszystkiem *muzycznem*.

się dzisiaj we wszystkich rzemiosłach. Jest ona taką samą dla nas w przemyśle teatralnym, jak w innych przemysłach. I właśnie winniśmy pracować nad jej rozwiązaniem, spełniając zarówno dzieło społeczne, jak zawodowe. Nie powinniśmy dla tego, że pewien sposób nauczania zbankrutował, zaprzeczać płodności wszelkiego nauczania, słuszności wszelkiej szkoły. Nie mamy prawa przewidzieć, że obejdziemy się bez nauki. Bo to nie jest prawdą. Każdy artysta szuka nauki, nawet jeżeli jest zła. Należy więc, jak mówi Juljusz Romains, spojrzeć na rzeczy nieco bliżej:

„Czegoż nam dowiedziono na prawdę? — pisze on w artykule cytowanym wyżej — że urzędowe nauczanie sztuki, w niektórych przynajmniej krajach, nie umiało dobierać profesorów, ani też udzielać życia swym metodom, a także, iż wszelka tradycja kończy się przez starość, że wszelka formuła usycha i ginie, że więc sztuka, w ciągu wieków czuła się dobrze w kilku epokach buntu i anarchji. Czyż z tego wynika, że ludzkość powinna od tej chwili zrzec się wszelkiego rodzaju tradycji technicznej i nauczania techniki. A przedewszystkiem cóż się stało w istocie, u artystów od czasu, jak nastąpił kryzys nauczania urzędowego.

Wielu z nich otrzymują w dalszym ciągu tę naukę, przechodząc przez Konserwatorjum lub Szkołę Sztuk Pięknych i starając się, jak mówią, aby, „zapomnieć“ co prędzej to, czego ich nauczano. Jest to tylko wymówka. Chcą powiedzieć, że przestali być uczniami biernymi, że przestali przyjmować wszystko bez kontroli, że pragną zachować całkowitą swobodę swych uwielbień i swych dążności estetycznych. Zdarzy się nawet, że będą udawali, iż nie nauczyli się niczego. Będą mieli miny odkrywców rysunku, mieszania barw, dźwięcznych kombinacji, coś jak Kartezjusz, gdy odkrywał poczucie Boga lub nieśmiertelność duszy. Może to być ćwiczeniem bardzo interesującem a nawet pełnem korzyści umysłowej. Ale rozumie się samo przez się, że nas nie oszukają.

Inni uczęszczali do pracowni, do akademji, na kursa prywatne, których duch odpowiadał mniej więcej ich własnym aspiracjom lub do których dostęp wydawał im się dogodniejszy. Otrzymali więc naukę, która mogła być niedostateczna, chaotyczna, kapryśna, zdążająca nawet do nicości, która jednak zachowała niektóre cechy lub niektóre pozory nauczania technicznego.

Co się tyczy czystych ignorantów, nie są oni liczni i jeżeli pominiemy dwa lub trzy wypadki, prace ich nie byłyby traktowane poważnie w żadnej innej epoce. Skorzystali oni z tej chorobliwej potrzeby niespodzianki i skandalu, która niepokoi dzisiejszych próżniaków i która żąda tylko szybkiej zmiany przedmiotu“.

SZTUKA PLASTYCZNA WSCHODU.

LINJA WEWNĘTRZNEGO ROZWOJU SZTUKI.

Przedstawiając rozwój sztuk plastycznych w Europie, zwykliśmy wychodzić z założeń, które już szkoła podaje dorastającej młodzieży, jako niezachwiane artykuły wiary. Podstawę ich stanowią z jednej strony filologja klasyczna, wraz ze ściśle z nią złączonem badaniem historycznem, z drugiej zaś estetyka, szukająca w pięknie istoty sztuk plastycznych. Dziwaczną zaiste jest myśl podniesienia Niemca do ducha Greka, jego indo-germańskiego poprzednika. Zapomina się, że natura północna nie pozwala wierzyć w tak miłych bogów, jak natura południowa. Pozatem chrześcijańska różdżka zaszczepiona na gałęzi północnej w duchu, w jakim ujmują religję semici wschodu, stała się narzędziem w ręku władzy, co utrudnia możność wewnętrznej, moralnej swobody, którą dawałby duch nauki Chrystusowej. Tak więc rozdźwięk między tem, czego uczy szkoła humanistyczna, wychodząc od człowieka Grecji, a tem, czego w ewangelji żąda Chrystus, wzrasta w sposób, który w pewnej mierze zdaje się nie do przezwyciężenia. Na M. Klingerze widzimy przykład zmagania się z tem zagadnieniem. Niestety jego Chrystus na Olimpie, który jest monumentalnem ujęciem myśli jego, przewijającej się poprzez jego dzieła, został w austrjackiej galerji państwowej zakryty zasłonami przed oczami widza.

Faktem jest, że pierwotni greccy poganochrześcijanie pojmowali postać Chrystusa ściśle według wyobrażeń swych własnych bogów i przedstawiali go, bądź jako dobrego Pasterza, bądź znów jako retora w rodzaju Sofoklesa. Tak było w Azji Mniejszej, gdzie widziano go jako młodzieńca z długiemi lokami, na sposób Praksytelesa. Inaczej było w Syrji. Coprawda wyobrażano go i tu również początkowo bez brody, ale zgodnie z duchem czasu ma on krótkie włosy i występuje jako pouczający sędzia. Nasuwa się tu pytanie, czy takie grecko-rzymskie pojmowanie było powszechne w krajach zachodnich: na to możnaby odpowiedzieć, iż zostało prawie całkowicie wyparte przez wschodnią głowę z brodą i z włosami rozczesanemi na dwie strony. Głowę tę wprowadzili dla wyobrażenia Chrystusa prawdopodobnie Aramejczycy jako idealny typ swej rasy. Na żadnym przykładzie nie można wykazać w sposób bardziej oczywisty stanowczego wpływu wschodu na ducha niemieckiego. Typ semicki działa aż po dzień dzisiejszy.

To, co spostrzegamy na przykładzie wyobrażania Chrystusa, po części istnieje również w naszem państwowem i kościelnem ujęciu sztuki. Wschód semicki, dla którego sztuki plastyczne były zawsze środkiem do inscenizowania wszelkiego rodzaju władzy, nie zaś — w przeciwieństwie do rozkwitu greckiego — samodzielnym czynem twórczym poszczególnej osobliwości, wywarł wpływ również i na te najwyższe siły kulturalne, które wyznaczają linję rozwojową tak państwu, jak i Kościołowi.

Sztuki plastyczne powracały ciągle do roli służebnej i w ten sposób powstawały „style", które częściej były jakiemś silnie podkreślonem przekonaniem ogółu, zgodnem z upodobaniem władcy, niż wyrazem poszczególnych indywidualności o własnych formach wypowiadania się lub zgoła własnym światopoglądzie. Wielkie indywidualności, niezależne od prądu wschodniego, zachowują zawsze cechę niezwiązaną z żadnym stylem i te dzieła ich mówią o walkach wewnętrznych, jakie musiał twórca stoczyć, aby pomimo ustępstw utrzymać się na swej drodze. Leonardo, Michał Anioł, Giorgione, Dürer, później Rembrandt i Böcklin tam, gdzie się wypowiadają sami i gdzie dają się porwać swej północnej krwi, płyną przeciw prądowi. Za czasów baroku artysta znikł poza aktorem, który musiał inscenizować imponująco, na sposób wschodni, władzę i jej narzędzia." Forma zewnętrzna musiała poddać się naporowi.

Byłby najwyższy czas, aby zaczęto odróżiać jednego artystę od drugiego. Tak, jak od poety lub muzyka oczekuję, aby miał własną duchową treść i tylko tego uznam za wielkiego, który w sztuce swej jest zarazem wielkim człowiekiem, podobnież należałoby przeprowadzić granicę pomiędzy tęgim, twórczym fachowcem w dziedzinie architektury, rzeźby, malarstwa, rzemiosła artystycznego i każdym poszczególnym artystą, który przy pomocy sztuk plastycznych potrafi nam ukazać własną wielką duszę. To, co służy do inscenizowania władzy, do utrzymania i upiększenia życia, chętnie uznamy. Jednakże za właściwy probierz musi również i w sztukach plastycznych być uważana wielka, swobodna w swej twórczości indywidualność, walcząca z problematami świata. Wtedy będzie można sprowadzić coraz bardziej przygniatającą mnogość tego, co stanowi historyczny balast, do rzeczy owocnych dla własnego rozwoju. W tym wypadku jednak badania, dotyczące sztuki, nie mogą wysuwać na pierwszy plan zagadnień formy, do których w ostatnich latach prawie wyłącznie się ograniczyły, lecz treść duchową, która nie jest jedynie objektywnym wyrazem usposobienia, ale objawieniem rozciągłości i głębi u wielkiej indywidualności, wypowiadającej się czynem w sztukach plastycznych. W sztukach plastycznych wschodu tego rodzaju indywidualności są wykluczone, w najlepszym razie objawia się w nich charakter masy — oto ogólne przekonanie. A jednak poezja Indów i Persów wykazuje co innego. Pozornie nie aryjski wyjątek w malarstwie stanowią tymczasem Chiny.

1. Aryjska oś rozwoju sztuki.

Sztuka północnego wschodu, którą tutaj przedstawiłem, zetknąwszy się z Europą, wywarła w dziedzinie ornamentu, budownictwa i malarstwa wpływ jak najbardziej owocny. Przytem nie należy przeoczać, iż posiada ona również ślady skierowanej ku wewnątrz indywidualności, której warto udzielić nieco uwagi. Dotychczas Hellada była wyłącznym przewodnikiem po tym indo-germańskim świecie, w którym indywidualność artystyczna przemawia do nas niezależnie od władzy. Ograniczony do małego obwodu miejskiego koła, toruje sobie drogę świat wewnętrzny Fidjasza w postaciach ludzkich, a pełen poszanowania na polu religijnem widzi on życie i człowieka w świetle wyższego, godnego ludzkości ideału, w bezgranicznem oddaniu się bytowi. Jedynie miejska kultura późnego średniowiecza, o ile bierzemy pod uwagę kraje północne, poszła pokrewnemi drogami. W książce niniejszej zajmować się tem jednak nie możemy. Chodzi tu raczej o bliższe rozpatrzenie, w granicach sztuki wschodu, zagadnienia, czy istotnie i w niej również znaleźć można przynajmniej ślady podobnych aryjskich dążeń.

Nie należy zapominać, że przedstawiciele tej samej rasy, wśród której powstał nad morzem Śródziemnem grecki, w starożytnej Galji germański rozwój sztuk plastycznych, dotarli na Kaukaz i do pobrzeży morza Kaspijskiego aż do Azji środkowej, do Iranu i do Indji. Czyż mógł świat, który stworzył Zarathustrę i pozwolił się rozwinąć poezji Wedów, nie pozostawić rysów pokrewnych w sztukach plastycznych? Badania nie postawiły sobie jeszcze tego pytania. Łatwo zrozumieć, dlaczego się to stać nie mogło: albowiem od całych stuleci zbyt jednostronnie zwracaliśmy myśl naszą ku Europie.

2. Duch aryjski w chińskiem malarstwie krajobrazów.

W pracy niniejszej wysunęliśmy na pierwszy plan sztukę chrześcijańską wschodu. Z pochodzenia swego nie jest to sztuka północna. Tu, na północy, widzieliśmy początkowo wypełniające płaszczyzny ornamenty, traktowane w sposób pierwotny, takie, jakie zapewne przynieśli ze sobą ze swych wędrówek Indogermanie. Jak się zdaje, geometryczny ornament wnieśli w obręb kultury miceńskiej „Doryjczycy". Dalszy ich rozwój łączył się później ze sztuką wyobrażania postaci u Egipcjan i Jończyków. W podobny sposób ludy indo-germańskie, przeciągające poprzez Kaukaz i dokoła morza Kaspijskiego, były krzewicielami upodobania w ornamentach, które z kolei w obrębie kulturalnych cieplarni południa zastąpiła sztuka, wyobrażająca postać ludzką. W ten sposób przyjęli Achamanidzi to, co im było potrzebne dla ozdoby ich budowli w Persepolis i w Suzie od Egipcjan i Asyryjczyków, a nie inaczej się rzecz miała u Indrów, dawniejszych krajowców i u ludów sąsiednich.

To nawiązanie do dawniejszych stosunków mogłoby między innemi wyjaśniać fakt, że Indo-germanie na południu nie sięgnęli nigdy do sposobu wypowiadania się, który później na północy Europy najchętniej przez ich wielkich twórców był uprawiany, t. j. do odtwarzania krajobrazów. To, co Dürer, Rembrandt, romantycy i Böcklin potrafili włożyć w krajobraz z subjektywnej treści duchowej, stanowi rzeczy jedyne w swoim rodzaju, nawet wtedy, gdy począwszy od upodobania przez „gotyk" orna-

mentacji roślinnej aż do malarstwa staro-francuskiego z czternastego stulecia i do Van Eycka, widzimy dokładnie drogę stopniowego wzrastania tego sposobu twórczości. Wschód nic z tem nie ma wspólnego, może u Leonarda udałoby się wykazać ślady wpływu malarstwa krajobrazowego wschodu. Zagadkowa głowa Chrystusa z Ambroziany robi wrażenie Buddy, pogrążonego z zamkniętemi oczami w wewnętrznem rozmyślaniu.

Występująca na północy skłonność do używania malarstwa krajobrazowego jako sposobu wypowiadania się zbiega się z dążnością, wyrażoną w sztuce wschodu i po wsze czasy w literaturze. Księgi wedyjskie i upanissady są nią przepełnione, jeszcze w 12-m stuleciu po nar. Chrystusa, Joga, oczyszczony, w schludnej szacie szuka samotności w przyrodzie i zgodnie z usposobieniem swem i myślami wybiera sobie w krajobrazie czy to cień leśny, czy brzeg rzeki, czy cmentarzysko. Sztuki plastyczne w samych Indjach nie nadały kształtu tym obrazom pogrążenia się w przyrodzie. Spotykamy go jednak w obrębie takiej sztuki, w której właściwie według panującego tam kierunku sztuk plastycznych spodziewaćby się go nie należało, a mianowicie w Chinach.

Znaną jest rzeczą, że malarstwo krajobrazów w Chinach doszło już w pierwszem tysiącoleciu po narodzeniu Chrystusa do rozwoju jedynego w tej epoce i który, w zestawieniu ze starą ceramiką, dowodzi, jak przenikliwie umieli mieszkańcy Azji wschodniej obserwować otaczający ich świat. Dopiero współcześni malarze krajobrazów, biorący za punkt wyjścia bezpośrednie wrażenie, nauczyli się cenić i rozumieć tę sztukę Chińczyków tak wysoko w tym kierunku rozwiniętą. Obok tych wrażeń krajobrazowych, malowanych tuszem na jedwabiu, istnieje grupa, tem się odznaczająca, że krajobraz nie jest malowany z natury, lecz jest najwidoczniej wytworem wyobraźni artysty. Można znaleźć dobre tego dowody obok typowych sposobów, opartych na zewnętrznem wrażeniu, w cudownych płytach japońskiego pochodzenia. Gałązka z ptakiem, wodospad, nurt rzeki i t. p. stanowią najzwyklejsze tematy. Postać ludzka, o ile wogóle jest wprowadzona, jest częścią składową krajobrazu. Jeszcze krajobraz z Jen-szanu, odzwierciadlający idyllę rodzinną, może uchodzić za objektywnie wzięty z natury, nastrój jednak przypomina niemal znany obraz Giorgiona. W przeciwieństwie do tej grupy stoi inna, wypowiadająca bezwzględnie subjektywnie nastrój filozofa, który cofnął się na łono przyrody, aby zgodnie z podstawowym nastrojem filozofji czasów dawniejszych Lao-tse'go i jego uczniów pogrążyć się w myślach nad wszechmocą i wielkością natury.

Znamiennym przykładem służyć tu może obraz Sun-Chun-tse z czasów dynastji Juana (1279 — 1367). Widzimy krajobraz umyślnie skomponowany. Na pierwszym planie szczyt górski, po lewej jego stronie źródło, z prawej— trzciny bambusowe. Rozdarty wąwozem taras, z prawej strony spada stromo ku przepaści, nad którą otwiera się nieskończona dal. Podnosi ją jeszcze w swej mocy olbrzymie, szeroko rozgałęzione drzewo, którego jeden konar, podobnie, jak u Corot'a, odchyla się silnie od pnia, na tle widniejących w głębi, z prawej i z lewej strony, zarysów gór. Jest to typowy krajobraz górski, dla którego za wzór mogą służyć południowe okolice Jangtzekiangu. W północnych Chinach motywów takich niema. W południowych zaś Chinach wydaje się również jasnem, co malarz wyrazić pragnie, umieszczając pod drzewem maleńkie, zamyślone postacie. Tam, nad brzegiem przepaści, siedzi filozof, pogrążony w myślach, których głębie stara się artysta przenieść na widza za pośrednictwem swego krajobrazu. Postać cierpliwie wyczekującego sługi, która w greckiej płaskorzeźbie na nagrobkach podobne wywiera wrażenie, wzmacnia jeszcze treść duchową głównej postaci, podczas gdy kjosk z różnorodnemi sprzętami u stóp drzewa nadaje całości obrazu charakter kulturalnego środowiska. — Krajobraz Sun-chun-tse'go poprzedziły starsze, lepsze być może, wzory. Wybrałem go dlatego, że kompozycja jego przystępniejsza jest dla Europejczyka.

Mogłaby zjawić się chęć uczynienia taoizmu odpowiedzialnym za tego rodzaju dzieła. Niezależnie jednak od tego, do jakiego stopnia on sam jako prąd narodowy już przed buddyzmem cofnął się do pierwiastków aryjskich, zwraca uwagę fakt, iż ten rodzaj malarstwa krajobrazu uwydatnił się dopiero po przejściu kultury północno-chińskiej na południe. Zachodzi pytanie, czy nie mogło tu mieć miejsca ponowne zetknięcie z pierwiastkami indo-germańskiemi. Zresztą sprawą tą nie chcę się tutaj wcale zajmować. Zależało mi bardziej na tem, aby kończąc wyszczególnianie prądów sztuk plastycznych wschodu, mających znaczenie dla Europy, dowieźć, że poza światem chrześcijańskim (wzgl. muzułmańskim), stojącym na pierwszym planie naszych rozważań, decydują nietylko pierwotne ludy koczownicze i północne, jako spadkobiercy kultur z nad Eufratu, Tygrysu i Nilu obok niezależnego rozwoju sztuki starożytnej Hellady. O wiele bardziej zasługują jeszcze na poznanie poszczególne ślady, na które badacze sztuki zaledwie zwrócili uwagę, a które dowodzą takiej oceny możności wypowiadania się przez krajobraz, od której tyle spodziewać się możemy, odkąd Dürer, Rembrandt i Böcklin wskazali tę drogą. Czy Chiny doszły do tego rodzaju krajobrazów samodzielnie, czy pod wpływem aryjskim, jest kwestją poboczną.

Prof. Dr. Józef Strzygowski.

Uchwała Unji Narodowo-Państwowej.

O stosunku do Sejmu.

1) Sejm Ustawodawczy, wybrany w warunkach szczególnych bezpośrednio po uzyskaniu bytu samoistnego a odzwierciadlający li tylko chwilowy nastrój ogółu polskiego, spełnił już swą rolę przez uchwalenie Konstytucji, do czego jedynie był powołany.

2) Normalne życie państwowe oprzeć się winno na przedstawicielstwie, odpowiadającem układowi takich stosunków społecznych, jakie się ukształtowały po blisko czteroletnim budowaniu życia państwowego i na nabytem doświadczeniu ogółu polskiego.

3) Dalsze istnienie obecnego Sejmu Ustawodawczego wobec dokonanego już uchwalenia Konstytucji nie pozwala na wejście w okres normalnego życia konstytucyjnego, które dopiero umożliwi powoływanie silnego parlamentarnego rządu i sprawne działanie władzy wykonawczej.

4) Wobec powyższego koniecznie jest jaknajszybsze rozwiązanie Sejmu Ustaw. i zarządzenie wyborów do Sejmu zwykłego.

Książki i czasopisma nadesłane do redakcji.

Wydawnictwa Gebethnera i Wolfa.

Roman Dyboski. Siedem lat w Rosji i na Syberji (1915—1921). Przygody i wrażenia, str. 253.

Włodzimierz Perzyński. Lekkomyślna siostra. Aszantka. Szczęście Frania. Komedje, str. 242.

Emma Jeleńska (Dmochowska). Matka. Powieść, str. 220.

J. W. Goethe. Cierpienia młodego Wertera w przekładzie i z przedmową *Piotra Chojnowskiego* (Bibljoteczka Uniwersytetówl udowych), str. 171.

Moljer. Skąpiec. Komedja w 5 aktach. Przełożył Tadeusz Żeleński (Boy), str. 91.

Różne.

D. S. Mereżkowski. Dekabryści. Powieść. Tłumaczyła z rosyjskiego B. Beaupré. Krakowska Spółka wydawnicza. Kraków 1922, str. 399.

Stanisław Czosnowski. Idąca śmierć. Nowele. Wydawnictwo „Vita Nuova“, Warszawa 1922.

A. Laskowski. Biskup Krasiński na wygnaniu. Wilno — 1922. Nakładem Ludwika Chomińskiego, str. 60.

Adam Krzyżanowski. Walka z drożyzną. Kraków 1922, str. 24.

Attilio Begey. Nella Polonia Risorta. Torino. 1922.

„Przegląd Warszawski“, maj.

„Przegląd współczesny“. № 2 (czerwiec).

„Strażnica Zachodnia“. № 3 (maj).

„Brzask“. Miesięcznik Akademicki № 3 — 4.

„Reformacja w Polsce“. Organ towarzystwa do badania dziejów reformacji w Polsce.

Słowo Niezależne. Pismo młodzieży № 3—6.

Jednodniówka Akademicka. Poświęcona sprawom naukowym. (Czysty dochód ze sprzedaży przeznaczony na rzecz Centrali kół naukowych Polskiej młodzieży akademickiej).

Przegląd Akademicki. Kwiecień 1922.

Samopomoc Akademicka. Miesięcznik poświęcony sprawom polskiej młodzieży akademickiej. № 1, 2, 3, 4.

Amirani. Jednodniówka klubu Gruzińsko-polskiego.

Polsko-niemiecka Konwencja-Górno-Śląska zawarta w Genewie, dnia 15 maja 1922 r.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego“ wynosi **kwartalnie 1200 mk., miesięcznie 400 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedyńczego numeru **100 mk.**

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: w poniedziałki, środy i piątki; administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.

„ „ Poznańskie i Pomorze „Ruch“, Poznań, ul. Pawła 1.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor: Leon Kozłowski.

Druk. sukc. T. Jankowskiego, Warszawa ul. Wspólna № 54, tel. 266-07.